№ 32.

WARSZAWA

d. 30 lipca (11 sierpnia)

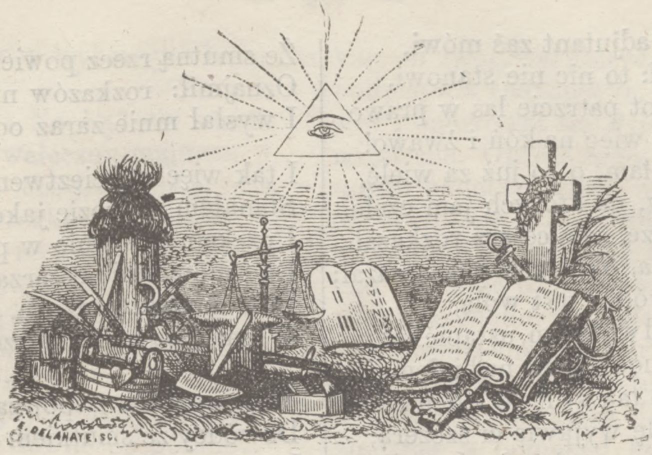
1861.

REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej

Nr 1527.



„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Najskuteczniejszym środkiem uchronienia się od grzechu, jest zwyczaj mawiania sobie każdego wieczora: „Jutra mogę już nie doczekać.“ (Śty Filip.)

Opowiadanie majora.

II.

—

Więc teraz przystąpmy do drugiego razu,
Com także nie spełnił dowódcy rozkazu:
A było to panie w austryaka ziemi,
Gdzie także walczyłem z wojskami innemi.
Trza wyznać, i oni w początkach nas brali,
I nieraz nam sadła za kołnierz zalali;
Lecz jakoś to było, tak nawet, że potem
To wojak wąsaty nie myślał już o tem.
Więc w Austryi mospanie, tak głupi raz by-
Że się na jakiegoś wieśniaka spuściłem, [łem,
I on nas prowadził. Więc tedy jedziemy
Daleko od swoich, a gdzie? to niewiemy,
Przez lasy i bory. Wtem nagle: kto idzie?
Zawoła ktoś z boku, a hasło, a hasło!
I z przodu i z tyłu wkoło nas zawrzasło.
O bieda, jam myślał, lecz cóż robić w biedzie?
To zdrada! krzyknąłem, jak zdrada? co zdrada?
Już chcący się wymknąć przewodnik powiada:
— Któż zdradził majorze? A jakże to przecie,
Jak ja mam to wiedzieć, co sami nie wiecie?
— A łotrze! hultaju! krzyknąłem już w gniewie,
To wasan nie wiedział? to wasan nic nie wie?
I kiedym tak mówił, u niego tą razą
Już groźne mordercze zabłysło żelazo
I godzić chciał we mnie — pistolet chwyciłem,
Jak kundla wściekłego na miejscu zabiłem.
To stało się szybko, zdaleka tymczasem
Już wrogi na naszych ruszali z hałasem...
Spojrzałem, co robić? źle będzie! ha bieda...
Lecz na cóż dumanie o biedzie się przyda?
Więc krzyknę: hej wiara! ruszamy na wroga,
Choć mało nas tutaj, spuśćmy się na Boga,
Bo kto tu zwycięży, sam Pan Bóg wie o tem,
A czoło mi zimnym okryło się potem,
Tak zguba widoczna. Wtem któryś postrzega,
Że cwałem od naszych ktoś konno przybiega,
I wreszcie rumaka osadza zdyszany,
A był to adjutant od sztabu przysłany
I przywiózł rozkazy, w nich jasno tak stoi:
„Majorze, wracajcie i ty sam i twoi:
W tej chwili o zdradzie donieśli mi szpiegi,
Więc prędko przyprowadź waleczne szeregi.“

Podpisał Napoleon, adjutant zaś mówi,
Odgadłszy me myśli: to nic nie stanowi,
Że na was napadli, ot patrzcie las w prawo,
A za nim nasz obóz, więc na koń i żwawo!
— Halt panie! zawołam, o to już za wiele,
Nie znacie wiarusów, na których jam czele.
—Lecz panie majorze, sam cesarz rozkazał...
—Czyż z tego wynika, bym hańbą się zmazał;
Dlatego że taka dowódcy jest wola,
Mam stchórzyć przed wrogiem, ustąpić mu po-
O! tego nie będzie, choć czarne na białem [la!
Jest rozkaz, którego tak święcie słuchałem;
Tym razem ja prawdę wyjawię ci szczerą,
Po karę przyjdziemy po walce dopiero.
A wtedy mosanie niech cesarz nas karze,
Ja w piekło się rzucę, jeżeli rozkaże.
Wszystko zrobię według i chęci i woli,
A teraz: hej! wiara, marsz naprzód! powoli,
A szlusuj! a stępą! no! kłusa, a w biegu
Pamiętać, by żaden nie wyszedł z szeregu!
Marsz, marsz! szarżuj naprzód. Jak senne wi-
Co szybko bez śladu w pamięci poginą, [dziadła,
Tak nasza konnica na wroga napadła,
I wszędzie krzyk, zgroza, strumienie krwi
A każdy tnie, kłuje i lancą i szablą, [płyną...
I ciepło nam było, bo szarżęśmy diablą
Puścili na wroga, ale ten niestety
Przypuścił, wystrzelił... najeżył bagnety...
Choć nasi wpadają, mieczami już rąbią...
Kazałem trębaczom, na odwrót zatrąbią,
I czoła zwracamy, o! wstydzie ohydo!
A właśnie i wrogi za nami tuż idą...
Więc trochę opodal znów moich szykuję,
A w każdym chęć zemsty widocznie panuje,
Dłoń każda wiarusa do boju gotowa...
Więc znowu komenda i znów szarża nowa.

Lecz teraz już wrogi się zniecierpliwili,
Zdaleka bez ładu do nas wystrzelili.
Ha! mamy ich, mamy! więc naprzód i razem!
Kłujemy pikami, rąbiemy żelazem,
I wrogi pierzchają, zrąbani i zbici
I wstydem i kurzem i błotem okryci.

Zwycięztwo! panowie, krzyknąłem radośnie,
Zwycięztwo! na krzyk ten, to serce aż rośnie!
Lecz wtedy na radość nie miałam ja czasu,
Bo właśnie adjutant wyjechał znów z lasu
I pędem przybywa. Po smutnej postawie
Odgadłem, że cesarz nie przyjmie łaskawie,
Adjutant się zbliżył:
— Przebacz mi majorze
Że smutną rzecz powiem: cesarz zwołał radę,
Oznajmił: rozkazów nikt zmieniać nie może,
I wysłał mnie zaraz odebrać ci szpadę.

I tak więc zwycięztwem świeżo ozdobiony,
Stanąłem w obozie jako uwięziony,
I czekam pokornie w przedsionku namiotu,
Bo gniew mnie cesarza nabawił kłopotu.
Lecz miałem nadzieję, że jakoś to przejdzie;
Wtem głos nagle słyszę z namiotu:
— Niech wejdzie!
Więc wszedłem, spojrzałem, w namiocie doko-
Dowódcy ze smutkiem spuścili swe czoła [ła
I stoją w milczeniu;
U stołu zaś końca
On stał.
A przy nim wielcy dygnitarze,
Choć wielkie ich czyny, poważne ich twarze,
Tak nikną jak gwiazdy w przytomności słońca!
On stał.
Przenikliwym jakby orła okiem
Zmierzył mnie, jak gdyby w moim sercu czytał,
I dumnym, poważnym, zbliżywszy się krokiem,
— No cóż masz powiedzieć? mnie nagle zapy-
Ja na to odrzekłem: [tał,
— Wiem, jaka ma wina,
To dla mnie już może ostatnia godzina,
Lecz świat cały przyzna: kto z pola ucieka
Ten podły, nikczemny, tego hańba czeka,
A polak, co dobrze waleczność rozumie,
Najjaśniejszy panie uciekać nie umie.
To moja obrona.
On mnie okiem mierzy,
Jakby chciał do głębi mej duszy przeniknąć,
Nareszcie padł wyrok, gdyż raczył wykrzy-
[knąć:
— Niech przyjdzie tu kapral i sześciu żołnie-
Nie było co mówić, [rzy!
Wyszedłem ze łzami,
By serce przebili siedmioma kulami!
Na placu prosiłem za największą łaskę,
By zdjęto mi z oczów fatalną przepaskę,
I prosząc, by w serce razili śmiertelnie,
Zacząłem komendę:
— Pluton! tuj! mierz celnie!
I... i... jeszcze tylko brak jednego słowa,
A pewniebym teraz nie był w waszym gronie;
Lecz gdy panowała tak cichość grobowa,
Ktoś wyszedł z namiotu i
„Na ramie broń!“
Zawołał, a głosem aż wszyscy zadrżeli,

Bo był to sam cesarz w wybornym humorze
I zbliżył się do nas:
— No, bądźcie weseli,
Przebaczam ci winę waleczny majorze.
To było dla strachu, lecz teraz cię proszę,
Byś zważał na moje rozkazy potrosze;
No, masz moją rękę, na dowód, że zgoda.
I wraz Napoleon prawicę mi poda,
Upadłem mu do nóg i łzami zroszony
Składałem mu dzięki, jakby odrodzony.

—

No! ale tymczasem gdy ja tutaj gadam,
Już pewno być musi dawno po północy,
Przepraszam Asindziów i do nóg upadam,
Że tak was znudziłem... Życzę dobrej nocy!

O zgromadzeniach rzemieślniczych.

Nie ten się zasłużył ludziom, kto dawniej z nas żył, ale ten kto uczciwiej żył.

Ustanowienie zgromadzeń, czyli cechów rzemieślniczych dawnych sięga czasów, kiedy rozwijające się miasta musiały się zabezpieczać przeciw przemocy możnych i dla zgody wewnętrznej tworzyć między sobą stowarzyszenia. *Cechy* wzięły nazwę od wyrazu niemieckiego *zeichen*, co się tłómaczy po polsku: *znak*, *znamię*, a to dlatego, że rzemieślnicy pierwotnie na zgromadzenia wzywani byli przez starszych, zamiast pisma przez wysyłanie znaku jakiegoś, np. laski i t. p. którą jeden drugiemu odsyłał. Cechy rzemieślnicze w pierwszych latach swego powstania stanowiły rodzaj milicyi miejskiej i były szkołami dla młodzieży; miały one wyznaczoną zwykle w większych miastach część murów warowni do pilnowania. Z tego to czasu potworzyły się pomiędzy niemi bractwa rozmaite, (jak np. w Krakowie dotąd istniejące bractwo Kurkowe, i wiele innych.)

U nas w Polsce cechy rzemieślnicze już przed 500 laty po miastach istniały. Każde rzemiosło mniej więcej składał cech osobny, do którego należeli tylko sami majstrowie, a najstarszy wybrany z pomiędzych nich prezes nazywał się *cechmistrzem*. U niego to znajdowała się chorągiew z godłami właściwego kunsztu, lub Śtym patronem, pieczęć, przywileje na pergaminach pisane, fundusze ze składek lub kar; on zwoływał sessye, mianował majstrów, podpisywał świadectwa, wyzwalał terminatorów i opiekował się dziećmi pozostałemi po majstrach. Oprócz tego cechmistrze tacy stanowili podatki, karali winnych, oznaczali cenę wyrobów. Nie wolno było w mieście znajdować się większej liczbie rzemieślników nad raz stale oznaczoną, nie pozwolono obcym przychodniom zakładać warsztatów, a nawet młodzieniec zawierać małżeństwo mógł tylko z córką majstra tego samego rzemiosła. W Warszawie xiążę Janusz 1525 roku pozmieniał te poniekąd szkodliwe prawa, i rozkazał, aby wybory w cechach ze względem na zdolności osób następowały, i aby cechy corocznie z dochodów rachunek magistratowi składały.

Monarchowie z rodu Jagiellonów i ich następcy wiele się przynili do rozwinięcia rzemiosł w kraju. Cechy miały powagę sądów polubownych, załatwiały spory co do dobroci wyrobów, stanowiły ceny ich i czuwały, aby ludzie nieuzdolnieni robót się nie podejmowali, a na czeladników czyli towarzyszy, tylko młodzież usposobiona i uczciwa wyzwalną była. Dlatego to cechmistrze wglądali w sposób prowadzenia się czeladzi rzemieślniczej, i niepoprawnych, lub wiodących życie nałogowe z cechów wykluczali. Tęż samą opiekę cechy rozciągały nad wdowami i sierotami po rzemieślnikach, dawały wsparcia, sprawiały pogrzeb uboższym, sprowadzały zza granicy zdolnych rzemieślników. W Warszawie było zwyczajem, że nawet niepewnie urodzonych przyjmowano do cechów, czego i za granicą nie robiono; kto się dopuścił kradzieży, nigdy wyzwolonym być nie mógł, a kiedy u obcych wysokie opłaty i obfite uczty i biesiady utrudzały otwarcie warsztatu, w Polsce uzdolnienie i rzetelność miano na pierwszym względzie, dlaczego zapłata kilkunastu złotych i skromne a braterskie uraczenie, było tylko dodatkiem dobrowolnym.

Kiedy cechy krakowskie chciały wszystkie inne pod swą władzę podciągnąć, król Zygmunt I r. 1527 warszawskie cechy ugruntował i z pod władzy krakowskich uwolnił. Mogły odtąd same czeladź i majstrów wyzwalać, i warszawskie cechy stały się samoistniejsze, a tem samem różne od innych polskich cechów.

Wiele z cechów dzisiejszych przechowuje jako drogą spuściznę dawne prawa i przywileje na pergaminie w wielkiem poszanowaniu, z pieczęciami królów. Prawa te niekiedy przez jednego monarchę na dwóch arkuszach wydawane były, a to dlatego, że Warszawa dzieliła się na Starą i Nową, które choć blisko siebie leżały, miały jednak odrębne magistraty, stanowiły oddzielne ciała rzemieślnicze.

Rozpatrując się w dziejach cechów warszawskich, widzieć się daje, że *cech rzeźniczy* najdawniejsze posiada przywileje, bo z roku 1413; był on wtedy uwolniony od cła, kontrybucyi i danin. Zygmunt I zatwierdził im te prawa, a Zygmunt III r. 1615 zwolnił ich nadto od cła starościńskiego. Prawa i przywileje cechu rzeźniczego powiększył król Jan Kazimierz, stanowiąc przytem, iż żaden partacz nie ma im przeszkadzać w kupowaniu bydła rogatego, nikt do cechu nie wpisany, mięsa sprzedawać nie może, a wszyscy trzymać się jednej taksy winni. Dwóch z cechu kupować miało bydło, i innym odstępować dlatego, żeby jeden majster nie podkupywał drugiego. Przepisy te służyły rzeźnikom Starego miasta, przywileje nowomiejskich zgorzały. Dopiero August III król r. 1737 zatwierdził prawa dla cechu rzeźniczego Starej i Nowej Warszawy. Podług nich każdy wstępujący do cechu winien był opłacić do skrzyni brackiej złp. 15, a do ołtarza cechowego dać na świece 3 ćwierci kamienia wosku. Zostający majstrem musiał wyprawić bankiet, majstrów wszystkich nań zaprosić, dać 4 kapłony, 4 wielkie pieczenie, chleba i beczkę piwa.

Za nastaniem wielkich zjazdów krajowych i sejmów w Warszawie, ustanowioną r. 1567 tak zwaną *wolnicę*, w której za miastem wolno było mięso sprzedawać i ludziom nienależącym do cechu.

Cech krawiecki powstał bardzo dawno w Warszawie, bo jeszcze r. 1315 za Bolesława księcia Mazowieckiego; ale przywileje jego z tego czasu spaliły się. Dopiero widzimy prawa z r. 1503 dane przez Janusza księcia, które Zygmunt I i Jan Kazimierz królowie polscy, zatwierdzili; toż samo czynili ich następcy. Najwięcej pamiątek z czasów dawnych zachował *cech szewcki*, posiada on pierwszy przywileje w języku polskim pisane, kiedy zwykle wychodziły one w języku łacińskim. Książe Bolesław II pozwolił im obuwie sprzedawać bez opłaty w Zakroczymiu, a Zygmunt I w Bielsku litewskim, syn zaś jego r. 1571 dnia 10 marca dał im ustawę po polsku napisaną. Podług niej, kto chciał zostać majstrem, musiał dać 2 kłodzie piwa i 7 par roboty, usługiwać w kościele, gasić świece i trzy lata nosić nazwę mistrza młodszego. Następnie królowie hojnie uposażali przywilejami cech szewcki, który się odznaczał gorliwością w religii i strzeżeniu praw swoich. Towarzysz szewcki musiał trzy lata wędrować po obcym kraju. Ludzie cechu tego w różnych wypadkach zaszłych w Warszawie największy brali udział, a zachowali też różne zwyczaje z dawnych czasów. Kiedy np. która z żon majstra zasiadała raz pierwszy w sklepie, częstować musiała towarzyszkę dawną miodem, ciastem i t. p. Cech ten dzielił się na męzki i żeński, każdy miał osobnego cechmistrza i odrębną pieczęć; za czasów pruskich dzielili się majstrowie szewccy na cech polski i niemiecki.

Kuśnierze nasi nie tylko w kraju, ale i za granicą słynęli. Duchowni i świeccy, dygnitarze i uczeni, a nawet królowie bez względu na porę roku używali kosztownych futer. Książe Bolesław r. 1478 nadał im ustawę, którą Zygmunt August potwierdził, a w skutek której wolno im było jeździć z towarem po całym kraju bez opłaty. Kuśnierz mógł tylko trzymać czterech uczniów, z których każdy tyleż lat sposobić się musiał na majstra. Inni królowie rozszerzali te przywileje.

Oto są cechy najdawniejsze w Warszawie, bo jeszcze za książąt Mazowieckich powstałe.

Jednym przecież z dawniejszych po nich jest *cech rybacki*, posiadający przywileje po polsku na pergaminie z r. 1532. Nie wolno było nikomu do cechu nienależącemu łowić ryb w obrębie 10 mil od Warszawy. Prawa te rozszerzali inni królowie, są one bardzo ciekawe z powodu wyrazów i nazwisk dotyczących rzemiosła tego. Stanisław August ostatni król polski dał im ustawę nową 5 stycznia 1781 r.

Cech malarski był połączony z cechem szklarskim, i każdy szklarz nim został wyzwolony w swej sztuce, musiał być wprzód malarzem, gdyż ówczesne szklarstwo było właściwie malarstwem na szkle. Cech malarzów następnie połączony był od 1589 r. ze złotniczym, aptekarskim, szmuklerskim, stolarskim

i bednarskim. Ma on dawne prawa, bo z 1551, które król Stefan Batory i następcy jego powiększali i potwierdzali.

Cech piekarzy utworzył się za Zygmunta III króla, wolny od zwyczajów i różny od urządzeń zagranicznych. Monarcha ten r. 1632 postanowił, aby wszyscy sprzedający, a nienależący do cechu, ponosili też same ciężary, co piekarze i wnosili tygodniową opłatę.

Król Jan Kazimierz nadał 6 lutego 1659 r. przywilej *piwowarom*, podług którego wszyscy bracia schodzić się mieli do starszego, i bronić od przywozu piwa szlacheckiego z Pragi i Skaryszewa; oprócz piwa Wareckiego i Łowickiego, wszystkie inne mogli zabierać. Ślusarze, puszkarze, nożownicy, igielnicy, miecznicy, szpadnicy, łożownicy i zegarmistrze stanowili dawniej jeden cech, po rzemiosłach albowiem odnoszących się do koniecznych potrzeb, obdarzono przywilejami rzemieślników wyrabiających narzędzia wojenne. Z przywilejów tych widzimy, że rzemiosła wspomnione na wysokim stały stopniu udoskonalenia. Kto chciał zostać mistrzem u ślusarzy, musiał zrobić zamek sztuczny o 2ch ryglach i klamkach z jednej sztuki wykonanej, a każda sztuka musiała być na szrubach osadzona, nadto winien był zrobić zamek do skrzyni o 2ch fołach z śledziowemi głowami, o jednym ślisaku, a kłódkę długą o 3ch sztrzałkach. Zegarmistrz powinien zrobić zegar, któryby bił kwadranse, łożownik musiał wyrobić łoże do ptasiej rusznicy na pięć piędzi długą, czarną, perłową macicą ozdobić, 2ch przykładach z szufladkami, sprężyną krytą i munsztukami kościanemi; puszkarz rurę na 6 piędzi z małą kulką jak groch u 8 gwintach, i t. p. Przywileje te dał im Zygmunt III głównie, a dopełnili następcy.

Kto nie był biegłym w swej sztuce, nie broniono mu wprawdzie zarabiać, ale nie wyzwalano go, i musiał składać opłatę do cechu dotąd, aż się zdolnym okaże. Opłaty te wnosili po złp. 1 co trzy miesiące wtedy, kiedy kościół suche dni obchodził, i ztąd się *suchedniarzami* zwali.

Zegarmistrze dopiero za Augusta III r. 1752 odłączyli się od ślusarzy. Podług prawideł ich cechu, tylko katolików przypuszczano do tej professyi; uczeń 6 lub 7 lat terminować musiał nim został towarzyszem, a potem 4 lata spędzić w obcych krajach. Zalecano im dobre sprawowanie się, wierność i uczciwość. Zgromadzenie to jedno tylko używa dotąd w swej pieczęci *syreny*, z napisem naokoło: „Urząd starszych zgromadzenia kunsztu zegarmistrzów.“ Zegar na wieży zamkowej miał być robionym przez Jana Suleja za panowania Władysława IV króla.

—

Za czasów pauowania Stanisława Augusta, wielu zagranicznych rzemieślników przybyło do kraju. Król ten uporządkował cechy ostatecznie w r. 1781. Podzielono je na 14 oddziałów, do każdego z nich dodano *gminnego*, którego opłacały cechy. Gminy znajdował się na sessyach, pilnował czynności administracyjnych i kassowych, przestrzegał porządku, bywał na wyborach i wyzwolinach. Zachowano cechmistrzów obieranych w maju. Majstrowie wybierali 11 kandydatów z pośród siebie, odznaczających się moralnością i biegłością w sztuce, a dziecię losem wyciągało, kto z nich miał zostać cechmistrzem.

Z postępem czasu różne zmiany w urządzeniu cechów następowały; za czasów ogłoszonego Królestwa Polskiego wyszło postanowienie księcia Namiestnika 31 grudnia 1816 r., które na gruncie dawnych zaprowadziło zmiany, ustaliło wyborów starszych na 3 lata, wprowadziło do wybrań urząd municypalny, określiło obowiązki majstrów i czeladzi. Następnie w r. 1821 dnia 28 listopada, wyszło postanowienie Kommissyi Rządowej Spraw Wewnętrznych, które zawiera w sobie przepisy dziś obowiązujące. Podług niego prawo wyzwalania uczniów i zaświadczania lat wprawy pracującej czeladzi służy majstrom. Każdy jednak choć do cechu nie należy, ma wolność zarobkowania, a czeladnicy wybór miejsca, gdzie pracować pragną. W urządzeniu tem władza exekucyjna odebrana starszym zgromadzeń, oddaną została magistratowi.

—

Przeszłość zgromadzeń rzemieślniczych pokazuje, że cechy nasze noszą na sobie piętno miejscowości i dobrego kierunku. Rzemieślnicy strzegąc praw im służących, oddawali się spokojnie swemu powołaniu, stowarzyszenia ich pilnowały tego, co się odnosiło do ich rzemiosła. Praca ich szła spokojnie; corocznie starsi cechów podawali taxę do zatwierdze-

nia magistratowi, a ten wojewodzie lub marszałkowi. Księgi takie posiadają dzisiejsze cechy nasze. Powoływane były nadto cechy do udziału w ogólnym zarządzie miasta; układali sami, znając zamożność każdego, część nakazanej publicznie ofiary, jak np. za wojny szwedzkiej. Gminni, zaleceni prawością charakteru, nie odłączali nigdy swego interesu, lub dobra cechu od dobra ogólnego miasta; usiłowania ich były spolne, dążące czy to do utrzymania porządku, czy też potrzebnych ustaw. Podczas ogólnej klęski, zarazy lub panującej choroby, przyjmowały cechy obowiązek doglądania nieszczęśliwych w lazaretach i ubogich na mieście. Należały one także do obchodów wszelkich uroczystości religijnych i krajowych, występując zarówno na powitanie wojsk lub wjazdy królów swoich.

Przymioty takie były owocami, które rodziła głęboko wpojona religijność i poszanowanie starych zwyczajów, a podnosiło poczucie obowiązku, szlachetnej pracy i chrześciańskiego braterstwa.

Piękne te zalety, przekazane podaniami dawnej świetności, przeszły po większej części do dzisiejszych zgromadzeń rzemieślniczych: oprócz zdolności i pracowitości majstrów, czeladzi i młodzi warsztatowej, w sercach tych cichych pracowników znajdzie zawsze echo głos każdego cierpienia, każdego wzywania pomocy i każdej szlachetnej ofiary.

MACOCHA.

Wielka msza właśnie się kończyła w skromnym Bogdanowskim kościołku, i już niektórzy z przytomnych zabierali się do wyjścia, kiedy nagle posłyszano odgłos skrzypków połączonych z wesołemi śpiewy. Zaturkotały wózki, umilkły pieśni i sute weselisko zajechało przed plebanią. Po małej chwili wieśniak jakiś bardzo porządnie ubrany z posiwiałą nieco czupryną przystąpił do stopni ołtarza, a obok niego uklękła przyszła żona, młoda, i dorodna dziewucha, w której pomimo świątecznego ubrania, drstrzedz można było wyraźną skłonność do niedbalstwa. Opodal nieco od państwa młodych z wyrazem smutku na twarzy klęczał najwięcej piętnastoletni chłopczyna w czystej granatowej kapotce, trzymając za rękę sześcioletnie ładne dziewczątko, co w roztargnieniu dziecięcem nie pojmując ważności tej chwili, bawiło się pawiem piórkiem zdobiącem czerwoną czapeczkę brata. Te dwoje dzieci oddalonych i jakby zapomnianych od reszty godowników, należało do Macieja Maślaka zamożnego włościanina, który w rok niespełna po śmierci pierwszej żony, wchodził teraz właśnie w powtórny związek małżeński.

Znany to był gospodarz na całą okolicę, dom jego odznaczał się porządkiem i zamożnością.

Lecz ten ład i zamożność nie wynikały z zabiegów i pracy samego Macieja; sąsiedzi też, co to zawsze wiedzą jak kto siedzi, oddawali za nie jednogłośne pochwały poczciwej i raźnej Barbarze żonie Maślaka. Dwoje dziatek, któremi ją Bóg obdarzył, zdrowo i pięknie się chowały, bo podczas kiedy ona sama pracowała w polu lub w ogrodzie, stara Sobolowa poczciwa ciotka, co jej niegdyś w dzieciństwie zastępowała miejsce matki, a dziś dla podeszłego wieku i sił starganych, nie była już zdolną do ciężkiej pracy, strzegła w chacie tych najdroższych skarbów, ucząc je ochędóstwa i bojaźni Bożej.

Tak mijały lata niepostrzeżenie jedne za drugiemi, a oprócz zwyczajnych i prawie nic nie znaczących kłopotów, żadne dolegliwsze cierpienie nie zakradło się w cichą zagrodę Maciejów, i już hoży Jacek kończył rok czternasty, a mała Hanka zaczynała szósty, kiedy raz w czasie słotnej zimy wracając późno z jarmarku Barbara, przeziębiła się w drodze, i od tego czasu zaczęła mocno szwankować na zdrowiu; nareszcie ku wielkiemu żalowi całej wioski, zgasła w kwiecie wieku, osierocając biedne dzieci i starą ciotkę.

Wkrótce jednak zachwiała się stałość naszego wdowca: czując wyraźny brak skrzętnej gospodyni, której przykład był mu najsilniejszym bodźcem do pracy, zaczął widocznie opuszczać swoje zajęcia, i coraz częściej na na wielkie zmartwienie Sobolowej wspominać o nowem małżeństwie. Przyznać jednak należy, że głównym do tego powodem były bezustanne namowy sąsiadów, którzy widząc w tem dobro Macieja, co raz mu stręczyli to wdowę, to dziewkę, aż nareszcie spostrzegłszy jego wyraźną skłonność ku Brygidzie córce sołtysa, nie szczędzili starań dla połączenia ich ślubnemi węzły.

Zamiary te jak widzieliśmy na początku powieści, przyszły do skutku, pomimo niechęci starej Sobolowej. Niedbała i lekkomyślna Brygida wszedłszy w dom mężowski, jak szara gęś rozgospodarzyła się po wszystkich kątach, z zwykłą sobie skłonnością do próżnowania zaniedbywała najważniejszych zatrudnień, robiąc nieład i zamieszanie niepodobne do opisania. Serce pękało z żalu biednej starej na widok tego zniszczenia dobytku, nagromadzonego tak ciężkiemi trudy ukochanej Basi. Próbowała ona nieraz odezwać się głosem poczciwej rady, ale wtedy zuchwała Brygida fukaniem i krzykiem zagłuszała niebogę i wszystko pozostawało jak dawniej. Gdyby się było przynajmniej na tem skończyło!.. ale Brygida, której przy całem niedbalstwie nie dostawało jeszcze najważniejszej zalety, to jest łagodności i dobroci serca, wstydząc się bystrego oka Jacka, co pomimo młodego wieku widział dobrze ów zamęt i upadek ojcowskiego domu, zaczęła go prześladować nienawiścią i do tego stopnia potrafiła zepsuć słabego Macieja, że jak najgorzej obchodząc się z własnym synem, zmniejszał uczucie przywiązania, jakie czuł dla niego w swej duszy. Biedny chłopak w starej babce miał jeszcze jedyną pociechę, ale i ta niedługo nękana smutkiem i zgryzotami poszła za ukochaną siostrzenicą.

Trudno opisać, co po jej śmierci zła kobieta wyrabiała z sierotami. Jacek bity i poniewierany codziennie, stracił chęć do pracy i przywiązanie do ojca, a biedna Hanka głodna i zaniedbana do najwyższego sopnia, tułała się po wsi jakby dziecię największego nędzarza. Niedola jej jeszcze się bardziej zwiększyła, kiedy po roku pożycia jeszcze jeden syn więcej pomnożył rodzinę Macieja. Nieszczęśliwa dziewczyna pomimo niedojrzałego wieku, we dnie i w nocy pełnić musiała obowiązki piastunki około małego chorowitego brata, doznając za najmniejszym kwileniem dziecięcia najokrótniejszego obejście się macochy. Te cierpienia małej siostry więcej niż własne do żywego dotykały Jacka i przywiodły go do tego, że w młodej swojej głowie począł układać sposoby, jakby córkę i siebie wyzwolić z pod tak ciężkiego jarzma.

Dnia tedy pewnego jesienną porą, kiedy zaledwie szarzeć zaczynało na dworze, wziąwszy za rękę Hankę z jednym bochenkiem czarnego chleba na drogę, opuścił potajemnie rodzinną wioskę, oblawszy łzami mogiłę matki, której nie zaniedbali odwiedzieć, przechodząc koło cmentarza. Zamiarem naszego sieroty było udać sie pod opiekę rodzonego brata zmarłej matki, mieszkającego we wsi o trzy mile ztamtąd odległej. Ale i tu smutny zawód spotkał naszego chłopca; wuj jego obarczony licznem potomstwem, nie chciał przyjmować na siebie odpowiedzialności za cudze dzieci. Obojętnie wysłuchawszy jego skargi, cały ciężar winy zwalił na biedne sieroty, i wyłajawszy je za opuszczenie domu rodzicielskiego, rozkazał im jak najsurowiej, ażeby niezwłocznie do niego powrócili. Nie czekając dłużej, Jacek wraz z siostrą pożegnał wuja, i niby to idąc za jego radą, opuścił miejsce, gdzie doznał tak nie przychylnego przyjęcia.

Dzień był krótki, a na dopełnienie nieszczęścia deszcz rzęsisty padać zaczął, i nasze sieroty zmoczone i przeziębnięte, zmuszone były szukać schronienia w pierwszej karczmie, która im wypadała na drodze. Jacek ujprzejmie skłoniwszy się gospodyni, prosił, ażeby im pozwoliła zanocować gdzie, chociażby nawet nie w izbie, a ta ujęta miłą jego powierzchownością, wprowadziła go do stancyi, i ciekawie zaczęła wypytywać, gdzie idą i co czynić zamierzają nadal? Jacek jak zawsze brzydząc się kłamstwem, serdecznie się wyspowiadał ze swych kłopotów, dodając, że gotów jest służyć u kogo choćby darmo, byle jego kochana siostra znalazła wyżywienie i przytułek. Rozmowa ta zwróciła uwagę jakiegoś przyzwoicie ubranego mężczyzny, który niby to obojętnie przysłuchając się zdala, siedział na ławie z krótką fajeczką w ustach.

— Słuchajno, chłopcze, czy to tylko wszystko prawda? zagadnął nagle, spoglądając bystro w oczy Jackowi.

— Prawda panie, jak Bóg na niebie, odpowiedział chłopak śmiało, wytrzymawszy badawcze spojrzenie.

— No to słuchajże moje dziecko, mówił dalej łagodniejszym głosem podróżny, gładząc po głowie naszego sierotę, ja mogę położyć koniec tej waszej biedzie. Jestem młynarzem i dobrze mi się powodzi; taki jak ty chłopak nie będzie mi zawadą w gospodarstwie, a poczciwe moje żonisko zapewne także nie będzie chciało odmówić przytułku tej biednej dziew-

czynie, co bardzo bezpiecznie może się chować z moją jedynaczką Jadwigą.

Sieroty z płaczem rzuciły się do nóg poczciwego młynarza.

—

I znowu upłynęło lat dziesięć, kiedy dnia pewnego Jacek dorosły już mężczyzna, któremu poczciwy Jan, ów dobroczynny młynarz powierzał całą swoję gospodarkę jak rodzonemu synowi (poznawszy się bowiem na jego poczciwości, miał wkrótce oddać mu rękę swej jedynaczki), jechał do poblizkiego miasteczka za kupnem zboża i spotkał na drodze jakiegoś starego człowieka, co drżąc od zimna, siedział obok drogi i nie mógł się podnieść z miejsca. Jacek krzyknął na furmana i pełen litości chciał przyjść w pomoc nędzarzowi, ale zaledwie spojrzał na jego lica, kiedy krzyknął z przerażenia i o mało nie upadł na ziemię, poznawszy w zmienionych rysach starca, własnego ojca, co pomimo nieludzkiego obchodzenia nigdy nie przestał mu być drogim. Nieszczęśliwy Maciej przyszedłszy do przytomności, nie bez żywego wzruszenia także poznał syna, którego rysy prawie zatarły mu się w pamięci. Bezustanne poduszczania żony samo wspomnienie czyniły nieprzyjemnem. Teraz dopiero na widok takiego rozczulenia i miłości synowskiej, z jaką ten uczciwy chłopiec obszedł się ze srogim ojcem, poczuł najżywsze wyrzuty sumienia, i gorzkiemi zalał się łzami. W parę godzin dopiero potem Jacek dowiedział się wszystkich szczegółów ojcowskiej niedoli, spowodowanej głównie złem postępowaniem Brygidy i zamiłowaniem zgubnego nałogu, do którego niebacznie rzucił się dla zapomnienia swych trosków. Postradawszy mienie i dobre imie u ludzi, Maciej zmuszony był opuścić swoję zagrodę i przy starganych siłach iść szukać miłosierdzia u innych, bo nie poczciwa żona zabrawszy co się jeszcze dało, z dwojgiem swych dzieci wyniosła się do krewnych, co wraz z nią nie przestali dokuczać zniedołężniałemu i choremu ojczymowi.

Łatwo się każdy domyśli, że zacny opiekun Jacka nie odmówił schronienia jego ojcu; ale ten nie długo zajmował miejsce w jego domu, gdyż w miesiąc zaledwie po swojem przybyciu przytłoczony wyrzutami sumienia i wzmagającą się chorobą, skonał na rękach przywiązanych dzieci, błogosławiąc gościnnemu domowi, gdzie spędził ostatnie dni swoje. Długo smutek przytłaczał serca obojga sierot, które żyjąc wśród ciągłej pracy i rozlicznych zatrudnień, znalazły pociechę w tej myśli, że dopełnili obowiązku, jaki Bóg wkłada na wszystkie dzieci względem rodziców.

W parę lat potem odbyły się zaślubiny Jacka z Jadwigą córką młynarza, i długie pasmo dni pomyślnych zatarło do szczętu pamięć boleści przecierpianych w dzieciństwie. Hanusia ładne i poczciwe dziewczę całem sercem przywiązana do brata i swych opiekunów nie myślała już o innem szczęściu na ziemi. Ale i na nią przyszła kolej opuszczenia tych poczciwych progów, co ją tak miłośnie przygarnęły w sieroctwie i poniewierce.

Znowu więc w tym samym kościołku, gdzie to na początku powieści widzieliśmy Macieja, przed tym samym ołtarzem nadobne dziewczę strojne wyrazem niewinności, przyklękło otoczone gronem przyjaciół życzących jej jak najszczęśliwszego pożycia z poczciwym chłopcem, którego sobie obrała za dozgonnego towarzysza. Lecz kiedy drużyna weselna zatrzymała się w karczmie dla popaszenia koni, nowy widok przejął zgrozą serca wszystkich przytomnych. Znana nam Brygida w obdartej odzieży, bez pamięci o sobie, zataczała się po izbie szarpana ku oburzeniu wszystkich przez własne dzieci. Nie chcąc być dłużej świadkami tak smutnego widoku, poczciwi ludziska opuścili karczmę, unosząc z sobą pamięć sprawiedliwości Bożej, dotykającej już często na tym świecie ludzi, którzy o niej zapominają, a nieszczęsna Brygida wszystkie cierpienia, jakie je dotąd spotykają, przypisuje słusznej pomście Bożej za krzywdę sierot pozbawionych przez nią ojcowskiego serca i majątku!

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnie kop. 45—miesięcznie k 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra.— Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.— Warszawa dnia 30 lipca (11 sierpnia) 1861 roku.